

The image shows a piece of wood with a prominent grain pattern, featuring various shades of brown, tan, and grey. The wood has several knots and natural imperfections. Handwritten in white ink on the wood are the author's name and the title of the work.

Krzysztof Kamil
Baczyński

Młot

i inne
wiersze

Krzysztof Kamil Baczyński

MŁOT

i inne wiersze



Fundacja Festina Lente

Młot

Matce

Czuję Twój młot przejrzysty – Panie,
który mnie kruszy z nocy w noc,
i wiem: gdy skruszy – zmartwychwstanie
niebieski klon.

Jesteś jak mistrz-rzemieślnik, który
wykuwa tam, gdzie widzi formy,
i zetnie tam, gdzie gład oporny,
a żywy wzniesie w górę

I widzę kościół wszechstworzenia:
gotycki łuk po łuku wznosisz,
w powietrzu kując kształty przemian
i słup wielości.

Widzę dojrzałe już i pełne
ptaki i drzewa syte dłuta,
a ja – czy jestem w nieśmiertelność
ból i pokuta?

A ja, czy zewsząd niedojrzały,
abym ja – ognia pełen dzban,
tak pod Twym młotem stał się trwały
jak zasklepienie niebem ran?

I pada młot Twój ostateczny,
aż ciało stanie ziemi – puch,
a ja – czym taki posąg-duch,
że mi przez ból – być posąg wieczny?

17 kwiecień 42 r.

Teologia

To ty ciosami piorunów huczałeś
w kowadła zdrewniałych źrenic,
że czaszki dla lęku były za małe,
a serca za wielkie dla ziemi.

To ty ciskałeś z dłoni jak orkan
kule ogniste na kragły strop,
a w drogi ludzkie sny i ruiny
dymiące jak twój świeży trop.

I zastygałeś w pogromów zgiełk
pośród wędrówek głuchych pokoleń,
aż osaczony lufami szkieł
stanąłeś kroplą wody na stole.

Czymże ty jesteś, gdy w świetle przygasł
ogień zodiaków sypanych z góry,
a natarczywy ciągle napływasz
w szkiełka – tętniącym jądrem komórek?

październik [1941]

Przypowieść

Matce

Pan Bóg uśmiechnął się i wtedy powstała ziemia,
podobna do jabłka złotego i do zwierciadła przemian.
Po niej powoli się sączą zwierząt dojrzałe krople
wstępując z wód w powietrza – drgające srebrem — stopnie.
A śpiew najcichszego z ptaków zamienia się w miękki obłok
i wtedy powstają chmury do ziemi i gwiazd podobne.
Więc knieje do mórz przychodzą i kładą włosy na wodę
i wtedy fale się barwią na kolor dojrzałej jagody.
Światło przenika do ziemi, a ziemia blask przygarnia;
bory wrastają w powietrze, powietrze od lasów – czarne.
Zwierzęta wnikają w korę, a kora porasta życie
i niewidzialne, w przestrzeni, wiruje ziemi odbicie.
Wtedy są wszystkie kolory, każdy od innych różny,
które są wszystkie te same pod szklaną kopułą próżni.
I zafrasował się Bóg, że sam swych dzieł nie ogarnie,
więc cisza złożyła się w fałdy, a światło stało się czarne
i z ciężkich kowadeł gór rosły łodygi ogniste,
a gromy w wysiłku kuły zmarszczone w groźnym namyśle,
aż się wykrzesał z kuźni pod niebo od huku białe
z chmur i ziemi ulany – człowiek ciemny i mały.
Teraz uśmiechnął się Bóg i we śnie znużony oniemiał,
i do dziś błądzi wśród grozy człowiek ciemny jak ziemia.

dn. 14. XI. 1941 r.

Ballada o pociągu

I

Na małych, nieznanach stacjach
są pociągi martwe i puste,
gdzie cień dróżnika wypadł z czasu i usnął
w żółtych, dworcowych akacjach.
Czas zatrzymany przeciągle dyszy.
Te stacje są w Singapur, pod Warszawą i w Miami
i prowadzą je zawsze w szarym bezruchu ci sami
maszyniści umarli od trwogi i ciszy.

II

Czekam na dworcach samotnych i pustych
licząc gasnące żarówki gwiazd.
Chodzę powoli, stoję przed lustrem
obcych, szerniałych pejzaży miast.
Jest coraz dalej, mży sufit echa,
w takcie wagonów upływa las.
Już za daleko smutek przejechał
w nocie gwiazdziste, nocie bez gwiazd.
Obce pejzaże są jak pocztówki,
zwierzęta wycięte są tylko z atlasów.
Już wyminąłem jasne i ciemne
widoki wszystkich epok i czasów.

III

Jadąc przez wieki umarłem już tyle lat temu
i fantom twarzy wkleiłem w lustra okien.
Mijam tekturowych dróżników, głębokie
dworce bezruchu w ciszy, której nie można przemóc.
A ty czekasz, płaczesz, nie uradzisz

nocy podróźnej, ciężaru ostatniej stacji jawy.
Mój pociąg nadejdzie ze wszystkich stron naraz,
sypiąc zamiast dymu
liście czarne i krwawe.
Mój pociąg przywiezie ciężar wszystkich pejzaży,
mój pociąg jak smok zawadzi o noc pękniętą piersią
i z miliona okien spojrzy na ciebie moją twarzą
wyblakłą podróżą i śmiercią.
Nie znajdę pieśni wydumawszy cię najstraszniej i najpiękniej,
będziesz stać jak serce mego bólu samotna i bosa,
gdzie pociąg ślepy uderzy o koniec toru – pęknie
i ze strasznym gwizdem wstąpi w rozdarte niebiosy.

6. X. 40 r.

Pieśń wigilijna

Nam już wszystko za blisko, ptakom nieodlotnym.
Twarze są za dalekie o odległość ziemi.
Tak, to jest wieczny postój, który brzmi jak odjazd,
dzień znużony po brzegi wyszeptanym: przemień.
Gesty więdną od świtu w przepelnione życie,
list do Boga, w gołębie zmieniony – odleciał
w codzienne szklane niebo, stwardniałe jak granit.
Wieczorem: słysząc odlot za szybkich stuleci.
Korowodami chodzą poszeptane jaźnie
przed zwierciadła stłuczone w obcość cudzych odbić.
Przez okna można wyrzeć w noc płynących ulic
i zobaczyć niezmienną odchodzącą w zbrodni.
Przez szeroki oset pola daleko na przełaj
wraca się znów w znużenie i wyblakłość luster,
po omacku napotkać wynędzniałą ziemię
i tylko niebo, Boże, nieskończenie puste.

Nigdzie nie jedzie pociąg śniegiem zgasły – żalem.
Na brygantynach domów zamartwych posłuchać:
jak dźwięczy miasto mniejsze o skrzypienie śniegu,
golgoty gwiazd-objawień i ziemia jest głucha.

Kochanej matce – Krzyś

dn. 23. XII. 1939 r.

Śnieg

Bóg jest śniegiem, on ziemię połączy
z niebem na kształt liści milczących,
które z drzewa ostatecznych zamilczeń
szczerzą oczy – pół-boskie, pół-wilcze.
Bo tak świecić jak on – ciemnością,
tworzyć razem błędzenie i kościół –
jest nie znane. Tylko ci, co najdalej –
w kręgach białych jego twarz poznali.

*

Jesteś w śniegu, a śnieg oburącz
ogarnąwszy – co w nim zobaczysz,
dotykalne spadnie ciała kulą
i żywymi oczami zapłacze.
Ty w nim ręki skinieniem drążąc,
różowawe ciała kobiet wywołasz,
róg danieli, ptaki jak mosiądz
szybujące w gotyckich kościołach.
I pomników zamyślenie wieczne,
kanonierów o lawety wspartych,
których dawno śnieg wchłonał i przestrzeń,
pokolenia idące, a martwe;
a gdy urny ziemi zadymią,
będą śniegiem bez legend i imion.

*

Taki w blasku niby, a w ciemności
stojąc, płynąc – nie znasz odległości,
bo, co w tobie – za tobą dąży,
co najdalej – to łoża drąży,
w głąb spojrzenia, a ziemia w tobie
mrze w kolebce, zaczyna się w grobie.
Ziemię pocznij – odpowie obłokiem,
pocznij śniegiem – ziemią odpowie.
Więc ty w gwieździe się pocznij wysokiej,
przyjdź człowiekiem i sznurami owiec,
przejdź morzami jak syn człowieczy,
zgiń piorunem i wrzawą mieczy. —
– Wieczny będziesz – czy się zmienisz w słowo,
czy w grobowce, czy w zielony owoc.

Chrystus

Przejsć długim płaczem zapomnianych ścieżek
przez puste, krwawe wydmy słów i szorstkich spotkań,
spłynąć wykwittem płatków zmiodniałych na wiosnę
jak cisza biała, gęsta, miękka wonią słodka.
Przejsć... gromnicami drzew odprawić święta,
krzyżami wonnych dni zasadzić puste drogi,
o łukach nieba, brudnych przechodniach pamiętać,
być przyjacielem smutnych i najcichszym bogiem.
I siać niepokój sumień w oczy – brudne szyby
na pośmiewisko i na kłamstwa wieków.
Przez drogi cierpkie, dalekie i gorzkie
po coś tu do nas przyszedł, boże czy człowieku?

I w końcu
kłamstwem rozcięli przymknięte powieki,

pękł kobalt nieba szorstkim poszumem błyskawic,
niebo spłynęło szybkim w horyzont odbiegiem
kroplami sinymi mleka ciszę zadławić.

Zastygła wolno krew na zwiędłych kartach księgi,
przechodzą bose nogi w pyle, jak co dzień
i kiedy konasz co dnia na krzyżach przydrożnych,
minę cię nieobaczny, zmęczony przechodzień.

1939

Miserere

1

Oto stoimy nad ziemią tragiczną.
Pobojowisko dymi odwarem strzaskanych wspomnień
i snów.
Lepkimi krwią pytaniami
zdejmujemy hełmy przyrosłe do głów.
Głowy – czerwone róże przypniemy hełmom pokoleń.
Widzę: czas przerosły kitami dymów,
widzę czas: akropol zarosły puszciami traw.
Rzuć się, ostatni kainie, na ostatniego abla,
dław!

2

Wracając z pogrzebu ostatniego człowieka,
jak wyzwanie
rzucam przygarść powietrzną – skowronka – w niebo
i ziemię ronię jak łzę nad wszechświatem.

40 r., wiosna

Psalm 4

Boże mój. Ja przed Tobą
ołtarz ciała rozdarty.
Ja – jednym sumieniem rodzony,
dymię tysiadcem martwych.

Nie tłumacz mi ptaków i roślin,
ja z nich poczęty – rozumiem,
tylko się krzywdy nauczyć
i ludzi się uczyć nie umiem.

Ja już spokojny. Ześlij
ulewy głów obciętych,
strąć nieba płaską dłoń,
Ty ze wszystkiego – święty.

Ale mi czyny wytłomacz,
ziemi ziejący orkan,
bo nic, że po klęsce jej depczę
jak po krzemienych toporkach
ludzi, co nigdy nie rosnąc,
o ściany jaskiń miecz ostrzą.

Ale wytłomacz mi tych,
co niewiedzący – u ciemnych wód
są spopielale krzyżyki czarne
nie odegranych nigdy nut.

31. XII. 41 r. - 1. I. 42 r.

* * *

O wielkie niebo świata, od wiatru zmarszczone,
od snu zielono wzdęte, od ognia czerwone,
nad kuźnią purpurową jak żelazo giętkie,
jak łuk żaru ziejące, jak miecz boski – piękne.
Niebo, niebo tułacze idące na wschody,
nad wypalone miasta i żywe ogrody,
idące na północe, na białe południa,
niebieska harfo lipca i żelazna grudnia.
Niebo-pielgrzymie, ty rozpoznasz przecie
tych, co w tobie odbici jak w wielkim zwierciadle,
ciągnęli nić tęsknoty wędrując po świecie
i zanim nić zwinęli, już u końca padli.
O ty, niebo tułacze, twoje ptaki dzwonią,
są nam jednako orłem, aniołem, pogonią
i tym, co ich szukają, i tym, co znaleźli,
i tym, co nieśli je gdzieś i nie donieśli,
i tym, co już zdradzili, i tym, co jak owi,
co giną za nic – bracia chrystusowi,
i tym, co rozpoznali i na sercach swoich
przykuli jak ryngrafy na ognistej zbroi.
O niebo, niebo boże, połącz nas i uczynź
krzyż jakiś albo znamię czasu, co pouczy,
co nakaże wybaczać i zbudować korab,
który przez każdy potop przejdzie jakby chorał,
który, arką natchniona, arka sprzymierzona,
będzie mocnym jak surma, słabym jak ramiona,
i da tym, co widzieli upiorów tabuny,
serca z białych gołębi i oczy – pioruny,
tym, którzy krzyk słyszeli, który niebo z kory
odzierał, jakiś nowy młot i młot natchniony,
który tam, gdzie uderzy, wypryśnie kształt czysty,
a gdy nie zmiażdży – będzie wiekuisty.

20. V. 42 r.

Wyzwanie

Moje myśli są ciemniejsze od obcych słów proroków.
Moich słów prawdziwych nie zna nikt.
Kto z was wierzy, że oto po polanie czerwonych obłoków
przebiegł koń apokalipsy i znikł?

Kto wierzy, że w niedzielne popołudnie
nad pyłem odświętnych przechodniów
spadło siedem nieboskłonów w zawiei planet, a w próżni
sypano garściami dukaty płonących pochodni?

Czy byliście w pociągach pustych, które anielsko wstąpiły
w zaświat,
na ostatnich stacjach, gdzie urywa się czas,
gdzie w czarnych lustrach wypisano ostateczne obrazy,
znaki i hasła?
kto z was zna cmentarz świata i nieustanny potop gwiazd?

Czy widzicie: w mroku odchodzą idee rzeczy i czysti
ludzie, których nigdy nie było,
i że Chrystusa tylko szatan wymyślił,
żebyście mogli co dzień zabijać boga i miłość.

* * *

Byłeś jak wielkie, stare drzewo,
narodzie mój jak dąb zuchwały,
wezbrany ogniem soków żrałych
jak drzewo wiary, mocy, gniewu.

I jeżeli ciebie cieśle orać
i ryć cię rylcem u korzeni,
żeby twój głos, twój kształt odmienić,
żeby cię zmienić w sen upióra.

Jeżeli ci liście drzeć i ścinać,
byś nagi stał i głowę zginał.

Jeżeli ci oczy z ognia łupić,
byś ich nie zmienił wzrokiem w trupy.

Jeżeli ci ciało w popiół kruszyć,
by wydrzeć Boga z żywej duszy.

I otoś stanął sam, odarty,
jak martwa chmura za kratami,
na pół cierpiący, a pół martwy,
poryty ogniem, batem, łzami.

W wielości swojej – rozegnany,
w miłości swojej – jak pień twardy,
haki pazurów wbiłeś w rany
swej ziemi. I śniesz sen pogardy.

Lecz kręci się niebiosów zegar
i czas o tarczę mieczem bije,
i wstrząśniesz się z poblaskiem nieba,
posłuchasz serca: serce żyje.

I zmartwychwstaniesz jak Bóg z grobu
z huraganowym tchem u skroni,
ramiona ziemi się przed tobą
otworzą. Ludu mój! Do broni!

IV. 43 r.

Dzieło dla rąk

Kiedy się w ludziach miłość śmiercią stała
i runął na nas grzmiąc ognisty strop,
błogosławieni ci, co im za mała
była ta trwoga dla serc i dla rąk.

Kiedy przekłęto wszelki płód człowieczy,
aby nie cierpiał, aby nie mógł trwać,
błogosławieni byli ci, co rzeczy
nazwali nędzą poczętą we łzach.

Kiedy się krwawym szwem zszywały dzieje,
choć ziemia była jak jaśminów pęk,
błogosławieni byli ci – nadzieją
łączący z niebem ton – źródłany dźwięk.

A oto mamy niebios złoty namiot,
przestrzeń jak morze żywą – a nie szklaną,
z której powstaje się i schodzi w nią,
błogosławiającą rękę taką samą,
pod którą głowy jak łzy w oczach drżą.

A tylko trzeba pojąć głos i hasło,
bo jeden krok jest jak żołnierza krok,
kiedy się wstąpi weń, to się znalazło
Boga dla wiary i dzieło dla rąk.

V. 1943 r.

Do Matki Boskiej

Mario, obłoków ciszo.
Ciężko nam Boga dźwigać,
jeszcze ciężej odrosły świat,
nieba wysokie ciężej; nieba nad nami wiszą
jak przykazania ciemny kwiat.

Mario, tak bardzo boli, powiedzmy słowem prostym,
oto wszystko, całą maluczkość serc:
tu oto świty skazańców, tu oto dzieci, co rosły,
tu oto, Mario – milcząca nawet przed Bogiem śmierć.

Żeby się jeszcze unieść: o, natchnie ciepła muzyka,
ale już ziemia za ciężka, to dusze martwe jak ołów,
ciała i groby za ciężkie – stęzałe bryły mozołu,
dym, płomień nad nami wykwita.
Cierpienie to kula, koło,
rzeźbi, lecz toczy się dokąd?

Mario przeczysta, oto są dłonie wyschłe jak ruczaj,
z których by takie ogrody, zielone wybuchy drzew,
z których by domy jasności. A teraz oczy nauczaj,
jak w baldachimy przestrzeni trwogę zamienić i gniew.

Oto maluczkość nasza, śpiewaj, święta, nie ustań: –
czym wyższa topola śpiewu, tym bliżej dosięgnąć z dna.
Kończę. Oto już wszystko. Jak wióry wyschłe mam usta,
nimi, o cicha, ciebie jak wizerunek wycisnąć w twardych
dniach.

Modlitwa do Bogurodzicy

Któraś wiodła jak bór pomruków
ducha ziemi tej skutego w zbroi szereg,
prowadź nocne drogi jego wnuków,
byśmy milcząc umieli umierać.

Któraś była muzyki deszczem,
a przejrzysta jak świt i płomień,
daj nam usta jak obłoki niebieskie,
które czyste – pod toczącym się gromem.

Która ziemi się uczyłaś przy Bogu,
w której ziemia jak niebo się stała,
daj nam z ognia twego pas i ostrogi,
ale włóż je na człowiecze ciała.

Która serce jak morze rozdarła
w synu ziemi i synu nieba,
o, naucz matki nasze,
jak cierpieć trzeba.

Która jesteś jak nad czarnym lasem
blask – pogody słonecznej kościół,
nagnij pochmurną broń naszą,
gdy zaczniemy walczyć miłością.

21. III. 44 r.

Noc samobójcza

Ta noc bez pożegnania, noc bez gwiazd, noc bez ruchu.
Długo mi wiatr historyczny tłumaczył epilog najprostszy,
aż oto śmierć dzisiejszą ciężko bijąc ukłuł.
Jestem bezradny jak motyl, motyl nabity na ostrze.

Rzeka: przez okno widać, stanęła i czeka.
Przez okno widać miasta nasunięty witraż.
Na wierszach ślady krwi. Nie przeczytasz
przeżytych epopei. Nie zobaczysz ani jednego człowieka.

Odpywam nocą najstraszniejszą, a dokąd —
— już wszystko jedno.
Oczy zamkną odwroty w życie jak drzwi,
ręce jak drewno, ręce jak drewno, ręce jak drewno.

Już spod nóg stoczył się świat
wąskim strumykiem krwi
i tylko czarne szkielety mebli płynąc ode mnie wokoło stoją
a jutro rano jak dziś:
przyjdą na okno małe wróble
i nie spłoszone obejrzą śmierć zastygłą w moim pokoju.

3 października 40 r.

Rodzicom

A otóż i macie wszystko.
Byłem jak lipy szelest,
na imię mi było Krzysztof,
i jeszcze ciało – to tak niewiele.

I po kolana brodząc w blasku
ja miałem jak święty przenosić Pana
przez rzekę zwierząt, ludzi, piasku,
w ziemi brnąc po kolana.

Po co imię takie dziecinie?
Po co, matko, taki skrzydeł pokrój?
Taka walka, ojcze, po co – takiej winie?
Od łez ziemi krwawo mi, mokro.

Myślałaś, matko: „On uniesie,
on nazwie, co boli, wytłumaczy,
podźwignie, co upadło we mnie, kwiecie
— mówiłaś – rozkwitaj ogniem znaczeń”.

Ojcze, na wojnie twardo.
Mówiłeś pragnąc, za ziemię cierpiąc:
„Nie poznasz człowieczej pogardy,
udźwigniesz sławę ciężką”.

I po cóż wiara taka dziecinie,
po cóż dziedzictwo jak płomieni dom?
Zanim dwadzieścia lat minie,
umrze mu życie w złocieniach rąk.

A po cóż myśl taka jak sosna,
za wysoko głowica, kiedy pień tną.
A droga jakże tak prosta,
gdy serce niezdarne – proch.

Nie umiem, matko, nazwać, nazbyt boli,
nazbyt mocno śmierć uderza zewsząd.
Miłość, matko – już nie wiem, czy jest.
Nozdrza rozdęte z daleka Boga wietrzą.

Miłość – cóż zrodzi – nienawiść, struny łez.
Ojcze, broń dźwigam pod kurtką,
po nocach ciemno – walczę, wiary więdną.
Ojcze – jak tobie – prócz wolności może i dzieło,
może i wszystko jedno.

Dzień czy noc – matko, ojciec – jeszcze ustoję
w trzaskawicach palb, ja, żołnierz, poeta, czasu kurz.
Pójdę dalej – to od was mam: śmierci się nie boję,
dalej niosąc narecza pragnień jak spalonych róż.

30. VII. 43 r.

Sen

Rybak z rzeki przejrzystej długo wiosłem łuskał
ryby twarde jak orzech, zielone i białe,
które się z wolna w martwe księżycy zmieniały.
Czas się wstrzymał i trzepot usechł, usnął, ustał.

A rybak wiosłem płaskim przez sen gładził pióra
łabędzich skrętów rzeki, aż się w ciszy przemian
zrąb wody urwał nagle jak spieniona góra
i poczęły się chmury, gdy opadła ziemia.

Więc w ciemności ogromnej, co jak sen olbrzyma
poczęła w nim oddychać, widział światów koła.
Wiał chłód. Szron gwiazd osiadał na dnie. Była zima,
szumiący mróz wieczności. Ktoś go z głębi wołał.

I rybak dłoń nawykłą kładł na ostre smugi
rozkwitającej sieci i ciągnął milczenie,
pełne kształtów zastygłych, ciężkich jak maczugi.
Zdało mu się, że dźwignią niebios unióśł ziemię.

I dobył czas warczący w kuli pełnej ognia,
co się jak wąż rozciągał i kurczył jak batog,
aż porozcinał, wchłonał miasta, twarze, wieki,
aż wielkie zapomnienie zeszło. Śpiew ulatał.

Był to głos Boga. Rybak u powieki
poczuł kryształ miłości. Zbudził się na łodzi
i wielki słup ognisty w oczach – wiatr mu chłodził.
I zapragnął znów Boga – i stał się człowiekiem.

16-17. XII. 1943 r.

Krzysztof Kamil Baczyński
MŁOT i inne wiersze

Redakcja i projekt okładki:
Hanna Milewska

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2016

Warszawa 2016

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINA LENTE
www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl